

Blżej niż kamera

Rozmowa z Jeanem-Markiem Bouju, zwycięzcą World Press Photo 2004 i przewodniczącym jury Grand Press Photo 2007

Czego Pan oczekiwał, przystępując do oglądania blisko czterech tysięcy zdjęć konkursowych? Po raz pierwszy miał Pan okazję przyjrzeć się polskiej fotografii prasowej.

Spodziewałem się zobaczyć rzeczy, dzięki którym dowiem się czegoś o Polsce. Byłem bardzo ciekawy, jakie to będą zdjęcia. Czy będą bardzo polskie – choć przecież nie wiedziałem, co to znaczy, bo nigdy wcześniej nie byłem w waszym kraju. Po pierwszym przejrzaniu wysoko ocenilem poziom nadesłanych prac. Trudno mi powiedzieć, żeby coś odróżniało polską fotografię prasową od tej zachodniej – choć były zdjęcia, które ze względu na to, co przedstawiały, nazwałbym typowo polskimi.

Czego zatem dowiedział się Pan o Polsce na podstawie zdjęć naszych fotoreporterów?

Że zdarza się u was dużo wypadków samochodowych, że Polska to kraj religijny i że są tu krajobrazy charakterystyczne tylko dla Polski. Uderzyło mnie szczególnie dużo obrazów związanych z uroczystościami religijnymi i zwyczajami, jak na przykład wyścigi konne zimą. No i powtarzające się twarze dwóch polityków, takich samych. Na początku w ogóle nie wiedziałem, że jest ich dwóch, a w dodatku, że to premier i prezydent kraju. Tylko po częstotliwości ich występowania na zdjęciach, w bardzo różnych sytuacjach, domyśliłem się, że są to dla fotoreporterów ważne obiekty.

A Polska XXI wieku z tych zdjęć nie wyziera?

Nie miałem wrażenia, że oglądam kraj należący do innego świata niż zachodni. Na fotografiach widać, że to miejsce nowoczesne, choć zmiana kulturowa nie dokonała się jeszcze wszędzie. Obfitości zdjęć związanych z tradycjami i religią nie oceniam negatywnie, bo przecież to część życia tego kraju i ludzi.

Co zdecydowało, że jako Zdjęcie Roku wskazał Pan fotografię Macieja Nabrdalika?

Wyróżnia się spośród wszystkich poprzez sposób, w jaki bohater został uchwycony i jak dobrano kadr. Kompletna czerń, dwie krawędzie szyb i wyzierające między nimi oko. To bardzo klaustrofobiczne. Nie wiedziałem, kogo to zdjęcie przedstawia. Gdy pierwszy raz zobaczyłem tę twarz ukrytą częściowo za szybami, która najchętniej skryłaby się cała za nimi, pomyślałem, że to ktoś, kto ma duży problem, kto jest w trudnej sytuacji, ktoś, kto coś przegrał, stracił, coś mu się wymknęło. Te pionowe linie szyb są jak drzwi zamykające się przed tą postacią. Potem przeczytałem, kto jest na tym zdjęciu – były premier po przegranych wyborach prezydenckich w Warszawie. To podnosi walor newsowy fotografii.

W kategorii wydarzenia zabrakło w tym roku wybijających się zdjęć. Według niektórych fotoreporterów wydarzeniem jest na przykład Pierwsza Komunia Święta.

Rzeczywiście, nie było tam dużo mocnych obrazów. O wiele lepiej przedstawiała się kategoria ludzie – mieliśmy tu wiele świetnych zdjęć, w tym portretów. Portret prałata z Gdańska jest wyśmienity. Zobaczyłem postać wyrazistą, dość arogancką w postawie, podkreślającą swoją pozycję drogim ubiorem. Potem dowiedziałem się, że to znany kontrowersyjny ksiądz, ale przecież w tym zdjęciu nie chodzi o pozycję, tylko charakter człowieka – ono go świetnie oddaje. Różnica poziomów między kategorią wydarzenia i ludzie wynika z tego, że portrety fotografuje się często łatwiej niż bieżące wydarzenia. Fotografując newsy, nie ma się czasu na myślenie, ustawianie kadru. Trzeba się zdać na wyczucie i łut szczęścia. No i własny profesjonalizm. Sam byłem w wielu sytuacjach, gdy nie mogłem zrobić ani jednego kadru, a wydarzenie było naprawdę ważne. Ale to właśnie fotografia newsowa jest prawdziwym fotodziennikarstwem.

Niektórzy sądzą, że ważne wydarzenia, takie jak zamieszki lub tragedie, to samograje dla fotoreportera. Wystarczy ustawić aparat i pstrykać.

Ci, którzy tak myślą, nie przynoszą dobrych zdjęć z takich zdarzeń. Byłem w ważnych sytuacjach, z których zdjęcia wyszły bardzo przeciętne, i fotografowałem dość nudne wydarzenia, z których wyszły dobre zdjęcia. Właśnie tę nieprzewidywalność najbardziej lubię w fotografii newsowej. Z drugiej strony, jeden z moich przyjaciół, bardzo dobry fotoreporter, zawsze powtarza:

“Fotografuję newsy, bo nie mam wyobraźni”. Bo rzeczywiście podczas walk, konfliktów lub ważnych wydarzeń raczej nie bywa tak, żeby nie było czego pokazać. Wystarczy tylko uważnie obserwować i trochę pomyśleć. O wiele trudniej jest zrobić fotoreportaż o szachistach niż o partyzantach.

Po obejrzeniu konkursowych fotografii mam wrażenie, że fotoreporterzy wciąż wolą pokazywać nam ludzi w kłopotach: niepełnosprawnych, chorych, wykolejonych albo walczących.

Bo w sytuacjach konfliktu ujawniają się prawdziwe ludzkie charaktery, ludzie zaczynają robić rzeczy, których na co dzień nie robią. Nie obowiązują wtedy żadne reguły, puszcza hamulce, uwalniają się emocje. Ale między tym wszystkim toczy się normalne życie. To połączenie codzienności z niecodziennością przyciąga.

Zastanawiałam się, patrząc na Pana zdjęcia z Rwandy albo Liberii, pełne rannych, ciał bez głów, jak można było tak stać na tych ulicach i robić zdjęcia. Nie czuł się Pan jak hiena, naciskając migawkę, gdy wokół było tyle śmierci?

Nie bez powodu o fotoreporterach mówi się, że to sępy. Owszem, robiłem zdjęcia uciętych głów, na przykład w Liberii. Ale był powód, dla którego te głowy leżały na drodze: wyznaczały granice terytorium walczących stron. Nie fotografowałem ich po to, by mieć mocne zdjęcia, tylko żeby spróbować przekazać emocje.

Jak inaczej miałem to zrobić jako fotoreporter? Przecież byłem tam, by dokumentować to, co się działo. A doszło do ludobójstwa. Miałem zamknąć oczy, widząc niektóre sceny? To była moja praca. Jednym ze zwyczajów tej ludobójczej wojny było oznaczanie zdobytych miejsc ludzkimi głowami. One mówiły: “Przekroczysz ten teren, skończysz tak samo”. Uważałem, że to ważne, że trzeba to opowiedzieć światu. Przy czym nie robiłem zbliżeń tych głów, oblepionych muchami, zalanych krwią – jak robili inni obecni tam fotoreporterzy – tylko próbowałem tak kadrować, by był dystans, by zdjęcie było jak najłagodniejsze.

Czy te fotografie były publikowane w prasie?

W niewielu krajach, ale były. W Japonii i gdzieś w Europie. Czasami w ten sposób, że napisami zasłaniano najmocniejsze kawałki. Amerykańska prasa takich zdjęć nigdy nie wydrukuje.

W przeciwieństwie do fotografii z Afryki te robione przez Pana podczas wojny w Iraku są wręcz lightowe. A właśnie zdjęcie z Iraku wygrało World Press Photo. Zatem ludzie nie potrzebują krwi, by się wzruszyć.

W Iraku byłem w zupełnie innej sytuacji. Podczas gdy w krajach afrykańskich mogłem pracować dość swobodnie, w Iraku byłem tak zwanym embeded journalist. Przydzielono mnie do konkretnej jednostki. Choć akurat to zwycięskie zdjęcie nie powstało w jednostce, tylko w obozie dla jeńców w Nadzafie. Właściwie my, dziennikarze, nie mieliśmy tam nic do roboty. Żołnierze pilnowali jeńców, ci mieli worki na głowach. I nagle usłyszeliśmy okropny krzyk dziecka, które rozpoznało ojca. Wszyscy odwróciliśmy się w jego stronę, dziecko głośno płakało. Podszedłem bliżej, stanąłem za strażnikiem. Jeden z żołnierzy ulitował się i przeciął więzy więźniowi, by ten mógł przytulić synka. On się od razu uspokoił. Stałem wciąż za żołnierzem, mimo że nie wolno było tak blisko więźniów podchodzić. Zrobiłem kilka klatek i szybko wróciłem do ludzi z mojej jednostki. Tak że prawie nikt mnie nie zauważył. Nie mogłem zapytać owego Irakijczyka o nazwisko, nie mogłem się niczego o nim dowiedzieć. Ot, jedna scena uchwycona w sytuacji, gdy żołnierze nie patrzyli mi na ręce.

Zgodziłby się Pan jeszcze raz pracować na takich warunkach, jakie wam dano w Iraku?

Z jednej strony było to interesujące. Dziennikarz stawał się częścią jednostki i jeśli trafił na mądrego oficera, który nie postrzegał go jako wroga, mógł swobodnie pracować. W mojej jednostce nikt nigdy nie pytał mnie ani nie sprawdzał, co wysyłam do agencji. Ale z drugiej strony było strasznie, jeśli chodzi o pracę. Gdy przemaszzerowywaliśmy z jednego miejsca w drugie, bywało, że zatrzymywaliśmy się na wiele dni na pustyni. Byłem na wojnie w Iraku, a przez całe tygodnie nie widziałem irackich żołnierzy! Z nudów robiliśmy zdjęcia żołnierzom czytającym książki lub robiącym toaletę.

Oczywiście embeded journalism to sposób na kontrolowanie mediów. Bo oprócz regularnej armii,

do której byliśmy przydzieleni, była tajna policja, było Abu Ghraib – tego nie widzieliśmy. Z drugiej strony pamiętam, że podczas wojny w Zatoce w ogóle uniemożliwiono dostęp do wojska. Co jest lepsze? To moje zdjęcie nie jest przecież propagandowym obrazem obecności Amerykanów w Iraku.

Wszystkie wydarzenia oglądamy dziś na bieżąco w telewizji. Czy fotografowie są jeszcze potrzebni?

Telewizja jest powierzchowna. Fotoreporter musi być bliżej, co jest trudniejsze, i nie pracuje na tych samych obrazach co kamera. Reporter telewizyjny stojący na tle płonącego budynku i relacjonujący, że właśnie ktoś kogoś zaatakował, to nie jest obrazek, którego szuka fotoreporter. Ten płonący budynek nie wystarczy, by mieć dobrą klatkę. Fotoreporter musi pokazać więcej intymności, życia, ale też więcej brutalności – musi być bliżej zdarzeń, przedmiotów, bohaterów. Telewizja to film, po którego obejrzeniu w głowie widza nie zostają konkretne obrazy. Dobra fotografia jest mocniejsza, pozostaje w głowie widza – to powoduje, że trzeba być bardzo odpowiedzialnym, robiąc zdjęcia.

Czy ze zdjęć można się dziś dowiedzieć więcej o wojnie niż z wielogodzinnych przekazów na żywo?

Oba przekazy się uzupełniają. Weźmy wojnę w Iraku: ani żadna telewizja, ani żaden fotoreporter nie mają całkowitego obrazu trzytygodniowej inwazji Amerykanów. Nikt nie ma kompletnej historii o tym, co się tam działo. Lecz gdyby się wzięło wszystko, co pokazała telewizja, dołączyło do tego zdjęcia fotografów i teksty dziennikarzy – wtedy powstałby jasny, konkretny obraz inwazji.

Nie obawia się Pan, że fotoreporter stanie się reliktem przeszłości w świecie mediów? Będzie niczym koń w erze samochodów?

Nie zgadzam się z tym. Rozumiem, że gdy coś się zdarzy, telewizja to pokazuje. Ale potem ludzie sięgają do magazynów, by poczytać o tym więcej, a przy okazji zobaczyć zdjęcia. Fotografia prasowa jest komplementarna wobec telewizji lub Internetu.

Tylko że zajmują się nią już sami czytelnicy. Zdjęcia amatorów trafiają na łamy prasy, szczególnie gdy byli na miejscu zdarzenia przed fotoreporterami.

Samo posiadanie aparatu fotograficznego lub najlepsze zdjęcie zrobione telefonem komórkowym nie czynią z człowieka dziennikarza. Fotoreporter to zawód, z którym łączy się kwestia etyki, wiedza o wydarzeniu, umiejętność analizowania i opisywania, rozumienia i poszanowania praw każdej ze stron.

Czy patrząc na gazety, choćby amerykańskie, sądzi Pan, że fotoedytorzy też tak uważają? Publikowane zdjęcia czasami temu przeczą.

Nie żyjemy w doskonałym świecie. Ja też nie jestem nieomylny. Może czasami robiłem słabe zdjęcia, ale nigdy nie fotografowałem, wiedząc, że nie mam racji. Nawet w profesjonalnej fotografii prasowej jest sporo oszustwa, nadużyć, sensacji. Ludzie lubią być doceniani, lubią widzieć swoje zdjęcia na czołówkach gazet. Są fotoreporterzy, którzy przesuwiają martwe ciała i układają je tak, by prezentowały się lepiej na zdjęciu. Są tacy, którzy proszą, by człowiek strzelił jeszcze raz, bo pierwsze zdjęcie nie wyszło. Albo by ludzie krzyczeli, żeby emocje było widać na zdjęciu.

Widział Pan takie sytuacje?

Setki razy! Mam wielu wrogów wśród fotoreporterów, którym zwracałem uwagę przy takich okazjach. Kiedy robiłem materiał o problemie głodu w Etiopii, byłem w punkcie rozdawania żywności i zauważyłem, że fotograf pewnej brytyjskiej gazety zabrał dziecko jednej z matek i zaczął je rozbierać. Chciał, by było lepiej widać żeberka dziecka, to, jakie jest chude. Jak można tak robić! Rozumiem: obserwować, czekać. Ale nie pozować! Stałem przed fotografem, odebrałem mu to dziecko i kazałem się wynosić. O mało mnie nie pobił.

Lecz gdyby jakiś amator wpadł na taki pomysł, zrobił zdjęcie i przesłał je do gazet, mogłoby zostać opublikowane. Nie sądzi Pan, że to rosnąca konkurencja i łatwość fotografowania powodują, iż fotoreporterzy sięgają po takie metody, by się nie dać?

Nie, to problem tak stary jak fotografia. Swego czasu dużo się mówiło o jednym z najstynniejszych zdjęć Roberta Capy zrobionym podczas wojny w Hiszpanii – żołnierza z flagą – że było pozowane. Moje ulubione zdjęcie, zrobione przez francuskiego fotografa, także było oszukane. Przedstawiało

całującą się parę na paryskiej ulicy. Wyglądali tak naturalnie wśród mijającego ich tłumu – a tymczasem okazało się, że byli to opłaceni modele. Gdy zdjęcie opublikowano, prawda wyszła na jaw, a sami bohaterowie się przyznali, że im zapłacono. Mimo to wciąż lubię to zdjęcie. Ten obrazek jest na pocztówkach sprzedawanych na całym świecie.

W słowie “fotodziennikarstwo” drugi człon jest istotny. Zasadą w tym zawodzie jest, by wiedzieć, kiedy się postępuje źle, nieetycznie. I przestać.

Jeden z uczestników Grand Press Photo nie przestał. Wprawdzie nie ustawił zdjęcia, ale dokonał fotomontażu. Poniósł słuszną karę, tracąc nagrody i pracę?

Uważnie przyglądałem się wszystkim finałowym fotografiom, a jednak nie zauważyłem tego fotomontażu. Bo kiedy patrzę na zdjęcie, nie szukam zmian lub manipulacji, które w nim wprowadzono, tylko patrzę na obraz – czy z jakichś powodów mnie porusza, czy wzbudza moje emocje. Ponadto fotoreporterzy uczestniczący w konkursie są zawodowcami, tak jak w większości tego typu konkursów. Przyznaję, że nie spodziewałem się zobaczyć na konkursie podejrzanych fotografii. Ale jak mówiłem – niestety, takie rzeczy wciąż się zdarzają na wszystkich konkursach. Na szczęście rzadko. Według mnie dla takich nieetycznych zachowań wśród profesjonalistów nie ma wybaczenia. Dlatego decyzje redakcji “Press” oraz “Gazety Wyborczej” co do zdjęć i ich autora uważam za jak najbardziej słuszne. Jako fotoreporterzy musimy kłaść nacisk na dziennikarski aspekt naszej pracy. Jesteśmy zobowiązani do uczciwości i szczerości.

Powszechność fotografii cyfrowej oraz Internetu uczy innego podejścia do obrazu.

Tak. Za 10 czy 20 lat pewnie większość gazet będzie istniała tylko lub głównie w Internecie. Czytelnik znajdzie tam zdjęcia, tylko że będzie mógł na nie kliknąć i obejrzeć cały film, z którego ta klatka pochodzi. Agencje już dziś przygotowują takie projekty. Kupują kamery wideo dobrej jakości, niedługo fotoreporterzy będą mieli za zadanie nie tylko robić zdjęcia, ale też kręcić krótkie filmy wideo, które trafią na stronę internetową agencji. Klatki z tych filmów będą pełniły funkcję fotografii. Nie mam nic przeciwko wideo, lecz to coś zupełnie innego niż obecna fotografia prasowa.

Jest jednak taki rodzaj fotografii, który wciąż dobrze się sprzedaje: zdjęcia celebrities chętnie kupowane przez kolorowe magazyny. Przyszłość paparazzich wydaje się bardziej optymistyczna niż fotoreporterów newsowych.

Fotografowie pracujący dla show-biznesu mają się rzeczywiście nieźle, zarabiają sporo pieniędzy. Mieszkam niedaleko Hollywood, więc wiem, jak pracują. To zupełnie inny świat. Lecz ja nie mam nic przeciwko paparazzim. Świat celebrities jest dla mnie jednym wielkim absurdem, a paparazzi egzystują, bo ludzie chcą czytać te wszystkie głupie historie o tym, kto z kim śpi, a kto kogo zostawił. Amerykanie bardziej chcą być informowani o problemach Britney Spears niż o wydarzeniach w Afganistanie.

Tylko że paparazzi nie mają wiele wspólnego z etyką, której wagę tak Pan podkreśla.

W pewnym sensie mają oni swoją etykę, bo fotografują to, co gwiazdy show-biznesu często chcą pokazać. Jest to polowanie na ludzi – ale ci ludzie tego chcą. Prawdziwi paparazzi nie wykonują poleceń speców od PR i menedżerów, w tym sensie mają swoje zasady. Szanuję ich, ponieważ czasami mają dobre klatki i naprawdę ciężko pracują.

Gdyby miał Pan teraz zdecydować, dokąd pojechać, by robić zdjęcia, co by Pan wybrał? Są jeszcze takie miejsca, gdzie fotoreporter nie musi konkurować z kamerami telewizyjnymi?

Zawsze będę konkurował z innymi mediami. Pojechałbym do Bagdadu, choć trudno tam pracować reporterom. Afganistan wydaje się ciekawy, bo tam zaczyna się dziać. Tam, gdzie są media, tam są newsy.

**Rozmawiała Renata Gluza
Press 6 (137) 2007**